

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

J a ł m u ż n a.

Noc była ciemna, wieja, ślizgawica,
Szedł jakiś młodzian, porządnie ubrany;
Wtem, jakby na złość, gdzie wąska ulica,
Stoi staruszek, okryty łachmany,
I żebrze.

„Wstydź się, czyżto żebrać pora?
Któżto jałmużny prosi wśród wieczora?”
„Panie, po licu mojem spojrz wybladłem,
Daj mi grosz jaki, jeszcze dziś nie jadłem”.
„Ej, daj mi pokój, nie nie mam, nie mogę!”
Ofuknął młodzian i szedł w dalszą drogę.

Idzie i myśli: Oj, znam was, filuci,
Miejscy próżniacy, ze wstydu wyzuci!
Wziął lichą odzież, by tem litość wzbudzić,
I lezie gwałtem, żeby coś wyludzić.
Lecz potem myśli: „Można w gniewie zbłądzić,
Nie trzeba nigdy źle o bliźnim sądzić.

A może biedny, może ma i dzieci.
Zajdę, gdzie w bramie tej ogień się świeci,
Dam mu co”. Zaszedł, lecz coś szuka długo:
„Nie mam nic drobnych, dam mu razą drugą:
Słabość jest, zbytnią uwieść się szczedrota;
Nie takto łatwo nabywa się złoto”.

Idzie, znów myśli: „Choćbym dał dukata,
Niewielka dla mnie byłaby to strata,
Wszak mam ich kilka, a bez mej pomocy
Może staruszek i zemrzeć tej nocy.
Lecz gdzież się wracać? Spóźnię się na wiska,
Ale biednego może głód przyceiska. —

Wróćę się”. Wrócił. Ledwie dał trzy kroki,
Ucichło; księżyc błysnął przez obłoki;
Bieży młodzieniec, dziwi się tej zmianie,
Bieży, gdzie stoi staruszek przy ścianie.

Dał mu dukata. „Ten, co rządzi w niebie,
Oby dla ciebie też był litościwy,
Oby cię wspierał, gdy będziesz w potrzebie”.
Westchnął i zniknął staruszek sędziwy.

Zdziwiony młodzian patrzy dokoła,
Lecz nie nie widać w pośród nocnej ciszy.
„Któż jesteś, starcze?” przełękły zawoła;
Wtem jeszcze taki w powietrzu głos słyszy:

„Co dasz ubogim, synu mój, nie zginie,
Oddam ci w sądu straszelivej godzinie;
Uważać każdy krok twój dobroczynny
Do mnie należy; lecz jest anioł inny;
Zbiera co trwonisz, rozrzucasz daremnie;
Pomnij, by więcej nie zebrał odemnie”.



Z życia Jasia.

(Ciąg dalszy).

W pobliżu krzyża stalaktyki przybierały kształty grobowców i pomocników. Pomimo, że góra była dość wyniosła, sklepienie jaskini wzbijało się tu bardzo wysoko; czyniło ono wrażenie stropu niebieskiego.

Jaś nie mógł się nacieszyć widokiem tylu nieznanym dla niego rzeczy, to też gdy po kilku godzinach pobytu w jaskini Adelberskiej, powracał z panem Kalińskim do domu, rzekł z żalem:

— Szkoda, że częściej nie możemy tu przyjeżdżać.

Wróciwszy późnym wieczorem z wycieczki do Adelbergu, pan Kaliński czuł się niezmiernie znudzony.

— Wartoby wziąć ciepłą kąpiel przed udaniem się na spoczynek — rzekł do Jasia i zadzwonił służącego hotelowego.

— Dowiedziawszy się, że w hotelu są urządzone ciepłe kąpiele, udał się zaraz do łazienki z Jasiem.

— Wieczereżę zjemy później — mówił do swego wychowanka — domyślam się, żeś głodny, mój Jasiu, bo i ja mam niezły apetyt i zjadłbym chętnie cośkolwiek, ale przed kąpielą jeść niezdrowo, posilimy się później.

— Ech, przecież nie omdleję z głodu — rozmyślał się Jasio — a ja tak lubię ciepłą kąpiel.

I za chwilę obydwoje rozkoszowali się w marmurowych wannach. Zwolna pod dobroczynnym wpływem kąpieli znużenie zaczęło ustępować.

— Już mnie nogi nie a nie nie boją — rzekł Jaś — mógłbym teraz pójść nie wiem jak daleko.

— I ja się czuję lepiej — odpowiedział pan Kaliński. — Mam nadzieję, że po takim zmęczeniu i po kąpieli będziemy spali wysmienicie. Ale może to już czas wyjść z wody? Spójrz, Jasiu na zegarek, jak dawno się kąpiemy?

— Dopiero kwadrans...

— No, to już dosyć!

— Proszę pana, jeszcze trochę — prosił Jasio — tak miło w kąpieli.

— Zgadzam się i jeszcze na minut przedłużam kąpiel.

Po upływie kilka minut Jaś znowu zaczął się naprzykrzać i prosić, aby jeszcze nie wychodzić z wody, tak że kąpiel przedłużyła się do dwudziestu minut.

Wreszcie pan Kaliński rzekł stanowczo:

— Wychodź, Jasiu, z wody i ubieraj się jak najprędzej. Przedłużona kąpiel ciepła osłabia organizm i szkodzi zdrowiu zamiast pomagać.

Jaś posłuchał natychmiast, widział bowiem, że pan Kaliński jest niezadowolony z jego oporu. Starał się to wynagrodzić pospiechem w ubraniu,

lecz rzecz dziwna, uczuł szczególną ociężałość w całym ciele.

Zdawało mu się, że ma ręce i nogi z ołowiu i że ruszać nimi nie może.

Chciał się przewyciężyć, lecz ręce opadały mu bezwładne i nawet obuwia wciągnąć nie był w stanie. W głowie miał zamęt, w uszach mu szumiało. Wysiłkiem woli podniósł się i chciał postąpić kilka kroków naprzód, lecz zachwiał się i padł na sofę prawie bez przytomności.

— Co ci jest, dziecko moje drogie? — zapytał z przestachem pan Kaliński, pochylając się nad Jasiem.

Lecz sam także doznawał dziwnego zawrotu głowy, czuł, że go siły opuszczają. Chciał dzwignąć Jasia, położyć jego głowę na poduszkach i nie mógł tego dokazać.

— O, Boże! Coś się z nami dzieje — szepotał. — Nie wiem jak sobie radzić. Czuję, że jeszcze chwila, a zemdleje napewno. Mroczy mi się przed oczami.

Miał jeszcze tyle przytomności, że nacisnął guzik dzwonka elektrycznego. Służący ukazał się natychmiast.

Można sobie wyobrazić jego przestach, gdy ujrzał gości hotelowych nawpół zemdlonych. Zaczął ich co prędzej ratować. W hotelu znajdował się lekarz, przybiegł więc z pomocą i wkrótce tak pan Kaliński jak i Jasio odzyskali zupełnie przytomność.

— Już zawsze będę pana słuchał — zaczął mówić nawpół przytomny Jasio — niech pan się na mnie nie gniewa!

— No, no, uspokój się, już się na ciebie nie gniewam! — odpowiedział pan Kaliński.

Oslabienie jego prędko jakoś minęło.

— Ale w istocie nie rozumiem powodu cierpienia, jakimu podlegliśmy dzisiaj obydwa, ja i mój wychowanek — rzekł pan Kaliński do doktora. — Kąpiel nie była gorąca, a pozostawać 20 minut lub pół godziny w kąpieli, to chyba nie nazbyt długi przeciąg czasu. Wytlómacz mi, doktorze, co by to być mogło?

— Dwadzieścia minut kąpać się w letniej wodzie jest to nazbyt długo — odparł doktor — jeśli kąpiel jest przyrządzona ze zwykłej wody rzecznej lub źródlanej, ale tu są kąpiele z wody morskiej, grzanej. W takiej kąpieli należy pozostawać krótko, gdyż w przeciwnym razie wywołują szkodliwe następstwa. Jedne osoby kąpiel taka osłabia, inne dostają uderzeń do głowy. Dzięki Bogu, że w tym wypadku skończyło się na lekiem omdleniu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Oczy uroczone.

(Bajka.)

(Dokończenie).

Stary sługa uśmiechnął się skrycie, patrząc na radość i wesołe lica swego pana, na których zawsze ponurość i smutek od kolebki osiadał.

Gość rozgrzany starym węgrzynem, opowiadał, jak w drodze zaskoczony burzą, zmylił z drogi; a po długim błądzeniu, napotkawszy gromadę zajadłych wilków, zaledwie uciec potrafił i schronić się na podwórzu białego dworu.

Wnet rozpakowano sanie, a zziębli i wystraszeni podróżni, znaleźli ciepły i wygodny spoczynek. Znowu cisza dawna zaległa komnaty, a ogień na kominku słabym przyświecał światłem.

III.

Zegar ścienny uderzył pierwszą po północy: stary Stanisław drzemał przy kominie pilnując ognia, gdy zaskrzypnęły drzwi od sypialni pana i wyszedł uroczy, nierozebrany wcale. Sługa zdziwiony przetarł oczy i pomruknął snem rozmurzony:

— Co! panisko biedne, jeszcze nie spi?

— Cicho! stary mój druchu! — odrzekł pan wesoło — spać nie mogę i bodajbym nigdy nie zasnął, a był tak szczęśliwy, jako dzisiaj.

I usiadł w wielkim krześle przy kominie, uśmiechał się radośnie i począł płakać.

— Płacz! płacz biedniatko! — pomyślał Stanisław — prędzej może wypłaczesz z uroku nieszcześliwe oczy.

— Gdyby mi to Bóg dał to, czego sobie życzę — mówił do siebie pan uroczy — niczego bym na tym nie zażądał świecie. Już lat trzydzieści żyję samotnie, jak pustelnik albo zbrodniarz, a przecież nieskałałem się występkiem, niepomyślałem o zbrodni! Tylko oczy! oczy moje!

Smutek zasepił oblicze, przed chwilą radosne, lecz wkrótce znów uśmiech osiadł na dawnym miejscu: widać, że promyk nadziei spędzał ponurość.

— Mój stary przyjacielu! — a Stanisław spojrzał wesoło — ja może się ożenię.

— Daj to Boże! — zawołał sługa — ale gdzie szukać przyszłej mojej pani?

Pan powstał z krzesła, zbliżył się na palcach do drzwi bocznej komnaty, gdzie podróżni znużeni smaczno zasypiali; a wskazując ręką; wyrzekł z cicha: „tam!”

Stanisław kiwnął głową, jakby pochwalał wybór dobry i przyrzucił drew na komin. — Pan zadumany odszedł do sypialni, a stary sługa pomrukując: „daj to Boże; ale nie dojrzeją te gruszki na wierzbie! — zasnął twardo.

IV.

Rano zbudził się podróżny, ale o dalszej drodze nie mógł pomyśleć dla słabości małżonki.

Pan domu z radością się dowiedział, że dni kilka zabawią, a Stanisław już zaczął wierzyć, że dojrzeją gruszki na wierzbie.

Gość, był to szlachcic nie majątny; lecz choć nie miał do zbytku, żył uczciwie i o nic nikogo nie prosił upodobał sobie uprzejmego gospodarza i po tygodniu goszczenia, rzekł raz do swojej już wiele zdrowszej małżonki:

— Małgosiu! coś nasz łaskawy gospodarz smaży cholewki do naszej Maryi i ona jak bacząc nie od tego. Nie źlećby to było.

— Widzi ci się tak jeno! — odrzekła żona ale w duszy rada była, że co roiła sobie po głowie i mąż potwierdził.

— Człek nie ubogi, nie młokos, nie mu nie brakuje — mówił dalej chodząc po komnacie — nasza też dziewczka nie krzywa i dojrzała w latach, że już można oddać w ten stan święty i pobłogosławić.

Po wieczery gość sędziwy popijał starego węgrzyna, muskał czuprynę i słuchał z uśmiechem, jak pan domu, w pokornej mowie, upraszał o rękę Maryi.

— Podobałeś mi się waszmość — odrzekł po długim namyśle i kiedy o wiano nie pytasz, ani go żądasz, a masz dosyć własnego chleba, niechże i przedzie kądział w waszym dworze.

We trzy miesiące pan uroczy miał żonę. Znikła trawa i chwasty z alei lipowej, bo je stratało mnóstwo koni i kolas, co zwoziły krewniaków i przyjaciół panny młodej na wesele do białego dworu. — W kilkanaście dni gwar ucichł a droga lipowa znowu zaczęła zarastać trawą i i pokrzywą.

V.

Nadchodziła druga zima a towarzystwo we dworze powiększyło się tylko o jedną panią domu.

Liczna czeladź, którą przyjął, w krótkie pociekała, że pan ich ma tak nieszcześliwe oczy. Kilku pozostałych doznawszy od nich ciężkiej choroby, porzuciło dwór biały a młoda i dorodna pani, w ciężkich przewracała się bólach na bogatym łożu; tylko mąż przywiązany z odwróconą głową, ścisnął jej ręce zimne i skrzepłe.

Wiedziała, że mąż ma złe oczy; wiedziała, że niemi powiększał jej cierpienia i bóle a jednak szczerze przywiązana, błagała strapionego o jedno spojrzenie.

— Maryo! — zawołał z ciężkiem westchnieniem, wiem, że nie będę z tobą szczęśliwy, dopóki mam te oczy: wylup mi je! Oto nóż ostry a z twej ręki nie będzie mię boleć.

Wzdrygnęła się żona na tak okropne żąda-

danie a pan uroczy widząc ją niezachwianą, upadł na krzesło i rzewnie począł płakać.

— Na cóż mi ten dar boży, to szczęście, którego człowiek oczyma doznaje, kiedy wzrok mój klęskę niesie! Ty chorujesz ciężko, Maryo! wierzę: bo uschnie nawet drzewo piękne, gdy nań w złej godzinie spojrzę. Ale bądź spokojną; nasze dziecko nie zobaczy już tych oczu, nie zaszkodzi mu też w niczem i nie będzie pamięci ojca przeklinać!

Jękiem tylko odpowiedziała chora małżonka.

Pan uroczy wyszedł, zostawiwszy starego sługę; w krótkie dwa przeciwne krzyki odezwały się z dwóch stron przeciwnych białego dworu.

Zakwiliło dziecko nowo narodzone i rozległ się krzyk bolesny, donośny, męzki w komnacie, gdzie gorzał na kominie ogień. Płacz dziecięcy zwiastował, że ujrzał promień słońca a krzyk męzki, że ojciec tego niemowlęcia pożegnał się z tem słońcem na zawsze. Dwoje ocz, jak dwa kryształ, z skrwawionym nożem upadły na ziemię.

VI.

W sześć lat okna wybito z przeciwnej strony, z kądem widok był na obszerną wieś i pola a flisy pod samym białym dworem mieli przystań wygodną. Pani domu zdrowa i wesola, cieszyła się piękną jak anioł córeczką, która ślepego ojca oprowadzała.

Wieśniacy, co stronili od pana urocznego, teraz na widok ślepego pana i dziedzica nie uciekali jak dawniej. Zniknęła cichość pogrobową, bo dworzanie i czeladź napelniali dwór samotny.

Stanisław już zgarbiony laty, zakopał oczy swego pana w ogrodzie. Raz zdjęty ciekawością, czy się jeszcze zachowały, odgrzebał ziemię i spojrział. — Iskrzyły się jak świece: ledwie ich blask odbił się o twarz jego, zmarszczkami okrytą, zadrzał, upadł i skonał.

Pierwszy raz i ostatni zaszkodziły staremu słudze oczy urocznego pana; długo ludzie gadali, że dla tego mu dawniej oczy nie szkodziły, bo go pan wielce kochał; serce przeto odejmowało im siłę: teraz same zagrzebane w ziemi nabrały większej mocy i zabiły wiernego sługę!

Pan ślepy serdecznie go żałował; wystawił mu piękny nagrobek z krzyżem, pod którym flisy modlić się zwykli, gdy w przystani odpoczywali pod białym dworem.

ŁAMIGŁÓWKI,

I.

Ald—am—bro—czy—dek—di—e—go—gró—
jej—la—la—le—mia—mu—nek—o—po—po—po—

ram—ro—ry—ru—son—ski—ski—ska—szczyń—
to—tru—u—wół—wiec—ży.

Z powyższych sylab ułożyć 12 wyrazów, których początkowe litery dadzą nazwisko sławnego malarza polskiego.

Znaczenie wyrazów,

- 1) Imię męzkie.
- 2) Roślina.
- 3) Zakład kąpielowy w Galicji wschodniej.
- 4) Sławny poeta polski.
- 5) Miasto w Ks. Poznańskim.
- 6) Miasto w Galicji.
- 7) Imię męzkie.
- 8) Miasto na Śląsku.
- 9) Drzewo.
- 10) Poeta polski.
- 11) Słynny wynalazca.
- 12) Jeden z kardynałów teraźniejszych.



Rozwiązanie łamigłówek z Nr. 1

- 1) Bremena.
- 2) Udo.
- 3) Kamieniec.
- 4) Owies.
- 5) Wielkanoc.
- 6) Ignacy.
- 7) Nebraska.
- 8) Armata.

II.

- 1) Wesparyan.
- 2) Instertburg.
- 3) Tyran.
- 4) Sekwana.
- 5) Warkocz.
- 6) Oltarz.
- 7) Sobota.
- 8) Zachód.

WIT SWOSZ.

III.

- 1) Szamotulski.
- 3) Talas.
- 3) Atrament.
- 4) Celina.
- 5) Herbata.
- 6) Odyniec.
- 7) Welawa.
- 8) Izajasz.
- 9) Cebula.
- 10) Zuzula.